

Rządy mniejszości

dyktatorskiej

9 lipca 2019

Liderzy PiS sądzą, że wszystko im wolno – ale w wyborach poparło ich 37,6 proc. głosujących. To nie daje im prawa do samowładnego decydowania o sprawach Polaków.

Przed, być może najważniejszymi od 30 lat wyborami parlamentarnymi w naszym kraju, warto pamiętać, że system wyborczy w Polsce jest korzystny dla ugrupowań, które otrzymują duże poparcie w wyborach.

Metoda d'Hondta, według której głosy przeliczane są na mandaty, powoduje, że duże partie dostają więcej mandatów niż wynikałoby to ze ściśle proporcjonalnego przeliczenia oddanych na nie głosów. Wielkość nagrody jest jednak zmienna.

„Wysokość tej premii zależy od dwóch czynników: liczby ugrupowań, które dostały się do parlamentu oraz liczby głosów „zmarnowanych”, czyli oddanych na partie, które nie przekroczyły progu wyborczego. Nagroda jest większa, gdy do parlamentu wchodzi więcej partii, a równocześnie znaczną część głosów zdobywają partie, które nie przekraczają progu wyborczego” – wyjaśnia ekspert, prof. Jarosław Flis w opracowaniu dla Fundacji Batorego.

Taka sytuacja zdarzyła się w wyborach w 2015 roku. Do Sejmu weszło pięć ugrupowań: Platforma Obywatelska, .Nowoczesna, Polskie Stronnictwo Ludowe, Kukiz'15 oraz Prawo i Sprawiedliwość. Równocześnie, aż 16,6 proc. głosów oddano na siły, które nie przekroczyły progu wyborczego. To pozwoliło PiS uzyskać w Sejmie większość, mimo że w wyborach ugrupowanie to dostało tylko 37,6 proc. głosów.

Nagroda dla najsilniejszej partii może być dużo mniejsza. Dla przykładu: jeśli żadne ugrupowanie nie spadnie poniżej progu

wyborczego, a do Sejmu wejdą trzy ugrupowania, to do uzyskania większości (50 proc. +1), zwycięska partia musi dostać poparcie na poziomie 48,2 proc. Ten system jest niekorzystny dla małych ugrupowań, które tracą. Nawet jeśli dostaną się do parlamentu, to otrzymują mniej mandatów, niż wynikałoby to z uzyskanego poparcia.

„Dla przykładu: 5 proc. poparcia przy 5 proc. zmarnowanych głosów i 4 partiach w parlamencie daje zaledwie 8 mandatów, nie zaś 24, jak to by wynikało z czystych proporcji. Tak więc przedwyborcze kalkulacje zarówno małych, jak i dużych partii, a także ich wyborców muszą brać pod uwagę nie tylko liczbę konkurujących partii, ale złożenie dwóch czynników: liczby „zmarnowanych” głosów i liczby ugrupowań w Sejmie” – wskazuje prof. Jarosław Flis.

Połączenie partii – jeśli obydwie mają poparcie powyżej progu wyborczego – daje nagrodę. Dwie małe „pięcioprocentowe” partie, łącząc się w jedno ugrupowanie, zmniejszają ryzyko potknięcia się o próg wyborczy, oraz mogą liczyć na 18 dodatkowych mandatów. Takie przypadki rozbicia, jakie miały miejsce w wyborach sejmowych 2015 czy sejmikowych 2018 r., dają zaś dużą nagrodę tej partii, która zachowuje jedność.

W analizie szans koalicji należy pamiętać, że elektoraty partii nie łączą się tak łatwo, jak same organizacje. Start pod szyldem koalicji może być korzystny i przynieść więcej głosów i mandatów, ale należy liczyć się także z możliwością utraty głosów wśród wyborców sytuujących się na skrzydłach elektoratu poszczególnych ugrupowań.

Istnieją matematyczne metody, oparte na rachunku prawdopodobieństwa, które pozwalają oszacować, jakie są straty i zyski obu rozwiązań – w przypadku zawiązania koalicji i samodzielnego startu w wyborach.

„Każda decyzja o połączeniu lub podziale sił wiąże się z ryzykiem – można to ryzyko skalkulować, lecz nie da się go

pozbyć” – zauważa prof. Flis.

Problemem koalicji jest także stworzenie silnych list. Interesy koalicjantów oraz posłów zabiegających o reelekcję są barierą w lokalnym zakorzenieniu listy. Na pierwsze miejsca z reguły pada najwięcej głosów – to sprawia, że już na starcie rywalizacja kandydatów z różnych ugrupowań wchodzących w skład koalicji nie odbywa się na równych warunkach. Trudno też pogodzić interes liderów krajowych i regionalnych, troszczących się o utrzymanie swej pozycji.

Autorstwo: AL

Źródło: Trybuna.info